

SCHYŁEK INSUREKCJI. MACIEJOWICE

„W całej Pradze zrobiło się tak jak w sądny dzień,
a morderstwo, jakie Moskale robili, o takim
morderstwie jeszcześmy w żadnej historii nie
czytaliśmy”.

Jan Kiliński w *Pamiętnikach o rzeczy Pragi*.

Czerwcowe rozruchy w Warszawie miały swój nieoczekiwany i przykry dla Naczelnika epilog w połowie września. I znów w roli głównej wystąpił duchowny, biskup Wojciech Skarszewski, którego Szyndler określił jako „jedną z najbrzydliwszych kreatur na polskiej scenie politycznej w dobie rozbiorowej”. Skarszewski w niczym nie ustępował innym znienawidzonym ludziom Kościoła — Massalskiemu i Kossakowskiemu. Ów sługa Boży to była wyjątkowa kanalia, targowiczanie szykanujący patriotów i sługus zaborców, który podczas Sejmu Grodzieńskiego gorąco przemawiał za ratyfikacją układów rozbiorowych z Rosją i Prusami i w zamian udekorowany przez nich najwyższymi odznaczeniami. 11 września Sąd Kryminalny Wojskowy skazał Skarszewskiego na śmierć, co było jedyną sprawiedliwą odpłatą za jego haniebnne czyny. W siedmioosobowej obsadzie byli niemal sami jakobini i nic dziwnego,

że aż pięciu sędziów, z Zajączkiem jako prezesem, zagłosowało za najwyższym wymiarem kary. Dwóch pozostałych opowiedziało się za konfiskatą majątku i dożywotnim zamknięciem biskupa u kapucynów. A wówczas podniósł się ogromny harmider i ujawnili się wszyscy „przyjaciele” Skarszewskiego. Pierwszym był król, który wcześniej bezskutecznie interweniował u Naczelnika w sprawie obsady Sądu Kryminalnego Wojskowego, dostrzegając w nim zupełnie słusznie „trybunał rewolucyjny”. U boku Stanisława Augusta stanął natychmiast nuncjusz papieski Lorenzo Litta, który podobno ośmielił się zagrozić Kościuszcze klątwą, gdyby biskup został powieszony. Również wiele pomniejszych figur ujęło się za zdrajcą, siląc się na przeróżne argumenty, byle tylko uratować życie tej ohydnej kreaturze. Tu wymienić wypada prezydenta Zakrzewskiego, Ignacego Potockiego i Juliana Ursyna Niemcewicza. Ostatni z nich twierdził skądinąd sensownie, chociaż abstrahując od wymogów elementarnego poczucia sprawiedliwości, że uśmiercenie biskupa „da tylko powód nieprzyjaciołom do mieszania przez te krwawe egzekucje sprawy naszej z sprawą jakobinów francuskich”. I Naczelnik, który nie mógł się zdecydować, jaką drogą ma kroczyć zarówno on sam, jak i polskie powstanie, uległ obrońcom Skarszewskiego i zamienił mu karę na dożywotnie więzienie, które jednak w ówczesnej sytuacji mogło się zakończyć szybkim odzyskaniem wolności przez biskupa. Na ten krok jakobini zareagowali niemal histeryczną kampanią niewybrednych zarzutów, skierowaną przeciwko Naczelnikowi. Przypisywano mu „tyranię, arbitralność i uzurpację”. Pojawiły się głosy, że to on powinien trafić na szubienicę, skoro wdał się w obronę biskupa

Skarszewskiego. Lecz niewielu odważyło się otwarcie, pod własnym nazwiskiem je głosić. Na publiczną, ostrą krytykę zachowania Kościuszki zdobył się generał major ziemiański Gabriel Taszycki, członek Sądu Kryminalnego Wojskowego. W powielonym w licznych odpisach i rozrzuconym w Warszawie liście nie krył głębokiego zawodu i posłużył się grubym epitetem, który dla Naczelnika musiał zabrzmieć jak obraza: „Patrzyłem zawsze na Ciebie Naczelniku jako na największego republikanina. Dziś przemówiłeś do nas ustami despoty”. Dalej pisał Taszycki, że nie chce już dłużej zasiadać w składzie sądu i prosi o zwolnienie go z tego obowiązku. Nie od rzeczy będzie dodać, że Taszycki, szambelan króla, przeszedł w ciągu trzech poprzedzających lat niezwykle krętą ideową drogę. Aktywnie popierał prace nad Konstytucją 3 maja, ale zawiedziony jej niewystarczająco postępowym charakterem zgłosił akces do targowicy, aby następnie przejść do klubu jakobinów i wyrosnąć na jednego z największych wśród nich radykałów. O wiele dalej w swojej reakcji miał pójść Kollątaj, który podobno nie tylko wysłał do Kościuszki obraźliwy list, ale poważnie myślał o obaleniu jego władzy i powołaniu na wodza powstania generała Jasińskiego. Ostatecznie doszło jednak do zakończenia wojennych toporów; Kollątaj przeprosił Naczelnika, a Taszycki i inni sędziowie powrócili do obowiązków. Jedynie Zajączek zrzekł się stanowiska i zastąpił go major Antoni Krygier.

Uspokojenie wzajemnych emocji i gorących niesnasek przyszło w dobrym momencie, gdyż jedynie uporządkowanie spraw w Warszawie i nieporozumień wokół Naczelnika dawało szansę na zwycięskie kontynuowanie wojny.



Rzeź Pragi,
rysunek Aleksandra Orłowskiego z około 1800 roku.

Widoki na to zdawał się dawać szczególnie rozwój sytuacji w Wielkopolsce. Naczelnik zdecydował się tam posłać trzytysięczną dywizję Dąbrowskiego i był to strzał w dziesiątkę; rzutki i śmiały w swoich decyzjach generał doskonale się poczuł w powierzonych sobie roli i zaczął odnosić błyskawiczne sukcesy w polu oraz zdobył szturmem Bydgoszcz. Podjęta przez Dąbrowskiego dywersja zapewniła spokój od zachodu i pozwoliła skoncentrować się na rozprawie z wojskami rosyjskimi. Niestety, diametralnie odmienny był rozwój wydarzeń na Litwie. W ocenie Zahorskiego, wyrażonej na kartach książki *Warszawa w powstaniu kościuszkowskim*, „Litwa była już właściwie wówczas stracona, a wojsko litewskie, zdemoralizowane klęskami, cofało się na Grodno i Białystok”, zaraz dodając do niej kasandryczną prognozę: „Nie od strony Litwy jednak miał paść druzgocący cios dla powstania”. Miał on zostać wyprowadzony z południowego wschodu, od strony Ukrainy. Tymczasem bowiem do grona nieprzyjacielskich dowódców dołączył najniebezpieczniejszy z nich — generał lejtnant hrabia Aleksander Suworow-Rymnicki, doskonale znany z wojen tureckich. W polskiej pamięci Suworow zapisał się jako pogromca konfederatów barskich, już niebawem za usługi oddane w dławieniu insurrekcji kościuszkowskiej oczekiwał go awans na feldmarszałka. W liście wystosowanym do generała na długo przed wysłaniem go do Polski, jeszcze na przełomie kwietnia i maja, Katarzyna II w dość pokrętnym stylu napisała: „Znany wam z pewnością buntownik Kościuszko, podburzywszy Polskę, w swych kontaktach z potworami rządzącymi Francją zamierza wszędzie rozsiewać bunt na złość Rosji”. Później, w przesłanym mu ukazie, traktując działania przeciwko

polskiemu powstaniu jako równoznaczne z wojną przeciw Francji, Katarzyna II przedstawiła powody swojej zbrojnej interwencji wobec zła, jakie w jej mniemaniu wykluczało się w Warszawie: „Monarchini rosyjska zmuszona była podnieść swój oręż według wszelkich obowiązujących praw dla pożytku Rosji, dla wybawienia całej Północy od rozwiązłości francuskiej i ukrócenia podjudzanej przez potwory francuskie rozszalałej tłuszczy warszawskiej. Jakżeż było nie przerazić się, widząc buntownicze zamysły na wiślanych brzegach tam, gdzie w kolebce jeszcze umiejętność ludzkiego współzycia; Katarzyna byłaby winna przed potomnością, jeżeliby pozwoliła wzmocnić się buntownikom. Francuskie rozpasanie rozprzestrzeniłoby się po Rosji i całej Północy”. Katarzyna z przedziwnym upodobaniem pisała o francuskich potworach, ale już wkrótce — nomen omen — potworem miał się okazać Suworow, który z korpusem ukraińskim i pozbieranymi po drodze oddziałami w łącznej sile 12 tysięcy szabel i bagnatów i 39 armatami ruszył w kierunku Warszawy. Stosunkowo nieduża jak na rosyjskie standardy liczba dział wynikała z chęci uzyskania jak najszybszego tempa marszu, które park artyleryjski — im byłby większy, tym bardziej musiałby opóźniać. Generał zamierzał bowiem, wbrew obawom Katarzyny II i jej otoczenia, skończyć wojnę jeszcze przed zimą; wiary w to nie odebrała mu nawet wiadomość o odstąpieniu Prusaków od Warszawy. Jego korpus nie stanowił przesadnie wielkiej siły, ale Suworow był przeciwnikiem niezwykle niebezpiecznym, zaś w przypadku połączenia się jego korpusu z wojskami Fersena i ich wspólnego ataku na Warszawę nad powstaniem zawisłyby czarne chmury. Wyczerpana poprzednim oblężeniem stolica

musiałaby znów stawić czoło trudnemu wyzwaniu. Niewykluczone zresztą, że pod jej murami ponownie pojawiłby się Prusacy. Jednak atutem Kościuszki był fakt rozdzielenia obu nieprzyjacielskich zgrupowań linią Wisły. Stwarzało to szansę na ich oddzielne rozbitcie, co bez wątpienia pozostawało w sferze możliwości powstańczej armii. Naczelnik postanowił z niej skorzystać i nie dopuścić do koncentracji nieprzyjacielskich wojsk. Jako pierwszego zamierzał pobić Suworowa. Miał tego dokonać operujący w okolicach Brześcia pięcioletni korpus generała majora Karola Sierakowskiego, wsparty przez wojska litewskie i wyekspedowane z Warszawy oddziały generała Karola Kniaziewicza. Jednak była to teoretyczna układanka, która w praktyce nie otrzymała szans na realizację. Suworow okazał się zbyt szybki i aż nadto zdeterminowany, czego nie można byłoby powiedzieć o innych rosyjskich dowódcach. Po błyskawicznym marszu przez Polesie najpierw 17 września pod Krupczycami zmusił Sierakowskiego do odwrotu, a kilkadziesiąt godzin później w bitwie pod Terespołem niemal zupełnie rozbił jego oddziały. O ile w pierwszym starciu młode wojsko Sierakowskiego postawiło niemal trzykrotnie silniejszemu wrogowi twardy opór i zadało mu bolesne straty, to rewanż wzięty przez Suworowa był już dla niego bardzo bolesny — Sierakowski utracił ponad 2 tysiące ludzi, a reszta poszła w rozsypkę. Uciekinierzy przez następnych kilkanaście dni mieli powracać w szeregach rozbitej dywizji. Nieprowadzenie Sierakowskiego nie odwiódło jednak Naczelnika od realizacji pierwotnego planu. Po szybkim odtworzeniu jego korpusu nowymi jednostkami postanowił raz jeszcze, we współdziałaniu z wojskami Mokronowskiego, rzucić go

przeciwno Suworowowi. Ale Litwini byli w bardzo złej kondycji, o czym Kościuszko przekonał się naocznie podczas krótkiej inspekcji. Może zdumiewać, że drogę do Grodna odbył on jedynie w towarzystwie nieodłącznego sekretarza Niemcewicza. Po drogach grasowały już kozackie podjazdy i możliwość napatoczenia się na któryś z nich była bardzo duża. Albo Naczelnik liczył na swoją szczęśliwą gwiazdę, albo uważał, że łatwiej jest podróżować bez wojskowej eskorty, w sposób nie budzący czyjegokolwiek zainteresowania. Ostatecznie udało mu się, ale równie dobrze kilka kozackich spis mogło już wówczas wyeliminować Kościuszkę z dalszej walki o wolność ojczyzny. Raczej trudno uznać dokonany przez niego wybór za szczyt rozsądku wymagany od człowieka odpowiedzialnego w największym stopniu za losy kierowanej przez siebie insurekcji. Dwie zreorganizowane dywizje litewskie liczyły ponad 15 tysięcy żołnierzy, zdemoralizowanych jednak poprzednimi niepowodzeniami. Dowództwo pierwszej i zdecydowanie liczniejszej Naczelnik powierzył Jasińskiemu, drugą miał dowodzić generał Tomasz Wawrzecki, ale wobec jego zdecydowanego oporu przed tak dużym zaszczytem i, co ważniejsze — jak sam stwierdził — przerastającym jego wojskowe kompetencje, na czele dywizji stanął obok niego doświadczony, pozostający w służbie wojskowej już od niemal trzydziestu lat generał Romuald Giedroyc. Było to kolejne niezrozumiałe z wojskowego punktu widzenia posunięcie, które w przyszłości mogło przynieść więcej kłopotów niż korzyści; armia nie cierpi demokracji i dwaj dowódcy na czele jednostki to było kuriozum. Mimo wszystko Litwini i Sierakowski dysponowali na tyle dużą przewagą liczebną, że mogli się pokusić

o pokonanie Suworowa. Tym bardziej że jego korpus mocno się skurczył, po części wskutek strat bitewnych, lecz chyba w jeszcze większym stopniu wobec wyczerpujących przemarszów i chorób. Mimo wszystko należało jednak doprowadzić do izolacji wojsk Suworowa, nie dopuszczając do ich połączenia się z oddziałami Fersena. Jednak sztuka powstrzymania tego ostatniego przed sforsowaniem Wisły generałowi Ponińskiemu się nie powiodła. Fersen zdołał wywieść w pole Polaków dozorujących linię rzeki i 4 października zdołał przejść na jej prawy brzeg pod Maciejowicami. Kilka dni później nazwa tej miejsciny miała obieć Polskę, a wydarzenia, jakie nastąpiły w jej okolicy, stanowiły podzwonne dla powstania.

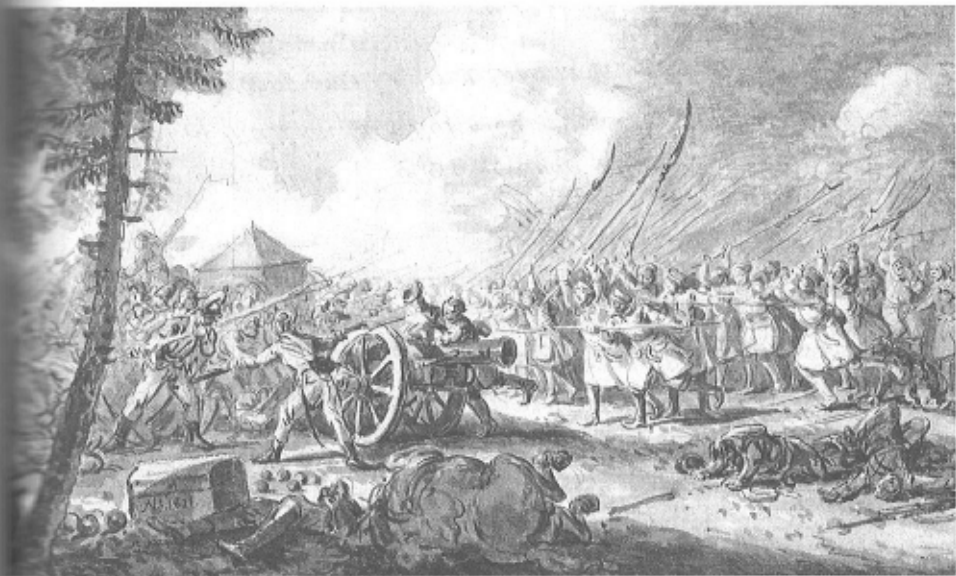
Wiadomość o udanej akcji Fersena mającego do dyspozycji 14 tysięcy żołnierzy i 56 armat skłoniła Kościuszkę do zmiany planów. Teraz to na niego postanowił skierować pierwsze uderzenie. Miały w nim uczestniczyć dywizje generałów Sierakowskiego i Ponińskiego, liczące łącznie 9,5 tysiąca ludzi oraz ponad 40 armat. Kościuszko nie tylko ze względu na wagę operacji zdecydował, że osobiście stanie na czele wojsk. Zachowanie Naczelnika miało rzekomo inną jeszcze przyczynę, o której w pamiętniku napisał Karol Wojda: „Jego rozkazy nie były wykonywane, jego urządzeniom stawiano trudności i postępowanie wedle innych zasad, niż je akt powstania krakowskiego wskazywał”. Miało to podkopywać autorytet Naczelnika i godzić w jego dumę. W przekonaniu Kościuszki jedynym wyjściem było udać się do armii i na jej czele zwyciężyć nieprzyjaciela „albo zginąć za ojczyznę”. Szyndler opatrzył słowa Wojdy, świadka opisywanych wydarzeń, następującym komentarzem:

„Wojda przekazał nam niewątpliwie plotkę krążącą po Warszawie po kłęsce maciejowickiej, ale jak w każdej plotce, tak i w tej tkwi pewne źdźbło prawdy”.

Przed wyjazdem z Warszawy Naczelnik ustanowił Zajęczka dowódcą oddziałów stacjonujących w obozie mokotowskim i w okolicy miasta. Ten zaś, mocno wspierany przez Kołłątaja, wręcz błagał Kościuszkę, aby zrezygnował z niepotrzebnego ryzyka i nie wystawiał na niebezpieczeństwo własnego życia w starciu z dużo silniejszym przeciwnikiem. Powstańczy wódz pozostał głuchy na ich argumenty, a jego zachowanie zdawało się świadczyć o pewności siebie. Ale było to raczej zaklinanie rzeczywistości i przywdzianie maski heroizmu niż głębokie przekonanie o możliwości pokonania wroga. Kościuszko, po przybyciu w towarzystwie Niemcewicza do obozu Sierakowskiego, zrezygnował z pierwotnego planu zebrania wszystkich sił w całość na rzecz wzięcia Fersena „w dwa ognie”. Liczył przy tym, że wraz z posiłkami idącymi z Warszawy polskie oddziały będą odpowiadały liczbą nieprzyjacielowi. Poniński miał się oddalić ze swoją dywizją nad Wieprz i czekać na rozkazy, aby zaatakować tyły carskiego wodza już po wciągnięciu go w bój z pozostałymi jednostkami. Plan wydawał się sensowny, ale w praktyce jego wykonanie zawiodło na całej linii. 9 października nawiązano kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem, a Naczelnik uszykował swoje oddziały na niewielkim wzniesieniu koło wsi Oronne i nakazał sypanie polowych fortyfikacji. Traktował je trochę niczym cudowne panaceum gwarantujące zwycięstwo. Podczas rozpoznania terenu Kościuszko znalazł się w niebezpieczeństwie, obskoczony przez Kozaków, ale uratowała go szybka interwencja

szwadronu jazdy. Swoje siły, 7,5 tysiąca ludzi, uszykował w dość płytką linię z centrum na wniesieniu dowodzonym przez generała Sierakowskiego, prawym skrzydłem pod komendą generała Ignacego Kamieńskiego, wysuniętym najbardziej w kierunku Maciejowic, i lewym, dowodzonym przez Kniaziewicza, zdecydowanie słabszym od dwóch pozostałych ugrupowań, gdyż z tej strony spodziewał się nadejścia Ponińskiego. W odwodzie, skryte przed wrogiem przez wzgórze, pozostawił trzy pułki piechoty i cztery pułki jazdy. Powierzenie dowództwa nad centrum Sierakowskiemu było zaskakujące. Kościuszko nie przepadał za nim i dawał mu to odczuć. Przed bitwą pod Krupczycami jego raport o naciąganiu wielkich sił Rosjan skwitował kwaśnym komentarzem, „że trzeba mniej pisać, a więcej działać”. Na złośliwość wobec generała pozwolił sobie również przed bitwą pod Maciejowicami, kiedy w towarzystwie kilku innych dowódców i Niemcewicza zachnął się na uwagę Sierakowskiego, że w przypadku konieczności zarządzenia odwrotu poważną przeszkodą może się okazać rzeczka Okrzejka na tyłach polskich pozycji. Ofuknął podkomendnego stwierdzeniem: „Tu bić się do upadłego potrzeba, a o cofaniu bynajmniej nie myśleć”, jakby jego uwaga, najzupełniej sensowna z wojskowego punktu widzenia, była nie na miejscu. Człowiek, którego jeszcze niedawno wychwalano za delikatność i umiarkowanie w wygłaszaniu sądów, coraz częściej pokazywał bardziej szorstkie oblicze. Tracił pewność siebie, czuł to, i to nieznośne, coraz bardziej doskwierające mu odczucie starał się zagłuszyć nieprzyjemnymi słowami i wybuchami złości. Gorzej, że zaczynał również robić coraz większe błędy. Dopiero przed drugą w nocy posłał

kuriera do Ponińskiego z rozkazem pospiesznego przybycia pod Maciejowice. To było zdecydowanie zbyt późno. W tym momencie bowiem rosyjskie oddziały skrycie zaczęły już podchodzić pod polskie pozycje, dokonując oskrzydlenia oddziałów Kniaziewicza. Fersen podzielił je na cztery kolumny pod komendą generałów: Tormasowa, Rachmanowa, Denisowa i Chruszczowa. O brzasku rozpoczął się bój z atakującą na lewej flance piechotą Denisowa i osłaniającymi ją Kozakami. Mimo zwycięskiego kontruderzenia brygady Józefa Kopcia sytuacja zaczęła się komplikować i Kościuszko już na początku bitwy musiał sięgnąć po część odwodu. Sam również ruszył ku stanowiskom Kniaziewicza i zaangażował się w prowadzenie ognia artyleryjskiego. W tym był mistrzem i kolejne, świetnie wymierzone salwy z dwunastofuntowych armat żłobiły krwawe place w gęstych szeregach atakujących Moskali. Nawała ogniowa szybko odebrała im animusz i powstrzymała atak. Denisowa udało się odeprzeć, ale wyczuwało się, że jeśli wróg uderzy jednocześnie na całym froncie, niemal dwukrotnie słabsi Polacy nie utrzymają pozycji — chyba że na pole walki nadejdzie Poniński. Ale jego z coraz większą nadzieją wypatrywana dywizja wciąż się nie pojawiała... Koło południa, przy ogłuszającym akompaniamencie bijącej ze wszystkich dział artylerii, Rosjanie ruszyli do szturm na całej linii. Ich gęste szeregi, czując nad sobą parasol artyleryjskiego ognia, nieubłagannie zbliżały się do pozycji Polaków. Ich obrona zaczęła się chwiać. Polskie armaty, jedna po drugiej, milkły, rozbijane ogniem przeciwnika lub z braku ładunków. Ze strony wyższych dowódców rozległy się głosy o wydanie rozkazu do natychmiastowego odwrotu, dopóki nie wszystko stracone.



*Bitwa pod Raclawicami — atak kosynierów na armatę,
litografia lawowana Jana Piotra Norblina z 1801 roku.*

Ale rozgrzany walką, zdeterminowany w najwyższym stopniu Kościuszko, który omal nie poległ od artyleryjskiego pocisku, nie chciał o nim słyszeć i jak w amoku powtarzał słowa podobne do tych sprzed kilkunastu godzin, jakie rzucił w twarz Sierakowskiemu. Ale jego postawa, chociażby najbardziej heroiczna, nie mogła już wpłynąć na wynik bitwy i dać Polakom zwycięstwo. Część oddziałów złamała szyki i rzuciła się do ucieczki. Sygnał do niej dał dowódca ułanów mirowskich, pułkownik Franciszek Wojciechowski. Wedle podbrygadiera Józefa Drzewieckiego, porzucając wraz ze swoim pułkiem towarzyszy broni, miał zakrzyknąć, „że mu sumienie każe go odprowadzić królowi, bo tu by zginął niezawodnie”. W bardzo specyficzny sposób rozumiał ów dzielny kawalerzysta kwestię sumienia i honoru. Jego kolega, pułkownik Krzycki, żołnierz z krwi i kości, zapewne jednak mniej miłujący króla, wolał wybrać śmierć, prowadząc swoich żołnierzy w desperackim kontrataku wprost na ziejące ogniem rosyjskie armaty. Podobnie zachowali się krakowscy kosynierzy i generał Kopeć. Ich bohaterstwo utonęło w fontannach krwi. Niewzruszone, nie poddające się panice bataliony muszkieterskie Działyńczyków, może najlepsze w armii, padły w równej linii przyozdobionej złotym kolorem naramienników. Bohaterstwem dorównali im kanonierzy, trwający do końca przy swoich armatach i wycięci niemal do nogi przez moskiewską jazdę. Być może to oni wraz z Działyńczykami w największym stopniu zapracowali na opinię, którą już po bitwie na temat Polaków wyrażali rosyjscy oficerowie, mówiąc, że „byli twardzi w walce jak mur”. Niemniej, pomimo licznych przykładów heroizmu ze strony kościuszkowskich żołnierzy, mur się zawalił.

Po godzinie trzynastej było już po bitwie. Trwały jeszcze rozpaczliwe starcia niewielkich grup polskich piechoty i jazdy, bezlitośnie wyrzynanych przez wroga i skazanych już jedynie na honorową śmierć. Resztki rozbitych oddziałów rozbiegły się w różnych kierunkach, część wybrało kierunek na Górę Kalwarię. Tam pozbierał ich generał Adam Skilski i umiejętnie unikając podjazdów kozackich, zdołał doprowadzić na Pragę.

Maciejowickie pobojowisko przedstawiało upiorny widok. Zaległy go tysiące trupów. Polacy stracili około 4 tysięcy ludzi, zabitych i rannych, Rosjanie o połowę mniej, około 2 tysięcy polskich żołnierzy dostało się do niewoli. Zwykle w opracowaniach padają takie właśnie liczby, choć zdarzają się dane podnoszące liczbę zabitych po polskiej stronie do 4 tysięcy. Rannych zwycięzcy Rosjanie bezpardonowo dobijali. Porucznik von Heiligenstadt, Prusak uczestniczący w bitwie, zanotował w pamiętniku: „Rosyjska piechota mordowała wszystkich tak, jak leżeli, z okrzykiem: to za Warszawę! [...] Wszyscy zabici, po godzinie obdarci do naga, leżeli w linii. Po południu wszystkich spalono”. Kontuzjowany Niemcewicz, opadnięty przez Kozaków, niemal cudem uniknął śmierci; z niego jedynie zdarto ubranie i obrabowano, a jeden z oficerów, nie mogąc zdjąć mu pierścienia z palca, usiłował go odgryźć. Adiutant Naczelnika po zranieniu, na moment przed zwałeniem się z konia, przeżył niezwykłą chwilę: „Na widok krwi oblewającej mnie i konia mego, nie chępliwie, lecz szczerze wyznaję, iż pierwsze uczucie moje było nie bólu, lecz słodkiej — iż tak rzekę — chluby, że krew moja przeląła się za Ojczyznę [...]”. Mniej szczęścia, choć i on przeżył, miał Kościuszko. Ścigający go Kozacy

nie rozpoznali nieprzyjacielskiego wodza w niepozornym jeźdźcu w fioletowej kamizelce i szarych spodniach, jadącego na lichej szkapie, bo dwa inne konie pod nim wcześniej zabito. Kozacy go dopadli, zwalili w grzęzawisko i spisami niemal nie zakłuli na śmierć. Uratował go jakiś leżący nieopodal rodak, krzycząc, że mordują owianego legendą Kościuszkę. Dramatycznie brzmią wspomnienia młodziutkiego podówcza, bo zaledwie dwudziestodwuletniego pułkownika Józefa Drzewieckiego, któremu Rosjanie nakazali odszukać na polu bitwy Naczelnika: „Leżał człowiek z większego odzienia odarty, głowa na ręce oparta, krew nasączyła włosy jego długie, bo był w głowę ranny [...] buty nawet były zdjęte, tem bardziej zegarek, co go na złotym łańcuszku nosił. [...] Ukląknęłam, szukając w nim śladu życia. [...] Wkrótce sprowadzono wóz z paru wołami, aby go zabrać, gdy stary Kozak zawołał, że się tak jenerała, choć nieprzyjacielskiego nie posyła”. Nie na wozie, ale na pałatce (wojskowym płaszczu) zarzuconej na związane ze sobą spisy paru żołdatów zniosło półprzytomnego, uwalanego błotem i krwią Naczelnika z pobojowiska. Złożony został w niewielkim pałacyku, w którym poprzedniego dnia kwaterował. Tam też umieszczeni zostali inni, najwyżsi rangą polscy jeńcy. Rosyjscy generałowie niemal z dworską elegancją i rycerskością zapewniali ich, że nie są barbarzyńcami, ale w tym samym czasie damy serca niektórych z nich zadawały kłam tym słowom i czyniły to w sposób wyjątkowo ohydny. Podobno żona generała Chruszczowa (ta sama, którą w dworski sposób zwolniono niedawno z niewoli) wraz z córkami, bez głębszej refleksji, nie mówiąc o odruchu jakiegokolwiek empatii, z uśmiechami na twarzach gracko przechadzały się

po pałacyku, zgrabnie przeskakując „przez zawałającą drogę krwią zbroszone trupy”. Panowie w generalskich mundurach nie uznali za stosowne zwrócić im uwagę na niestosowność zachowania. Ale nie mniejsze wyrzuty należą się chyba również wziętym do niewoli polskim generałom, którzy dali się zaprosić pogromcom na biesiadę.

Ciężko ranny Kościuszko zdołał przeżyć. Pierwszej pomocy udzielili mu Rosjanie, zdając sobie sprawę, jak drogocenny jeńiec wpadł im w ręce. 14 listopada pod Maciejowice przybył z Warszawy, przysłany przez Radę Najwyższą Narodową, generalny chirurg sztabowy Piotr Maignien. Towarzyszyli mu kucharz Stanisław Baliński i czarnoskóry kamerdyner Jean Lapierre. Ich pojawienie się wyraźnie podniosło cierpiącego Naczelnika na duchu, podobnie jak serdeczne wyrazy wsparcia i przywiezione przez nich rzeczy. Fersen, jakby pragnąc ukazać się w innym świetle i zatrzeć poprzednie fatalne wrażenie, nie oponował przed ich przekazaniem wyjątkowemu jeńcowi. Połowę z 3 tysięcy dukatów Kościuszko przeznaczył na rzecz rannych żołnierzy, dla siebie zachował trzy zegarki i tyleż baranich kożuchów, złotą tabakierkę, kocz, dużą ilość bielizny i pościeli. Generał swoją wspaniałomyślność posunął jeszcze dalej i zwolnił z aresztu „na parol honoru” polskich oficerów. Rosyjski wódz odrzucił natomiast kategorycznie zawartą w przekazanym mu liście Rady Najwyższej Narodowej propozycję wymiany Kościuszki na trzy tysiące pozostających w polskich rękach jeńców. Trudno było się spodziewać innej odpowiedzi; w moskiewskiej tradycji żołnierze niewiele znaczyli, ich życie miało znikomą wartość, a już szczególnie w sytuacji, kiedy na drugiej szali tej samej wagi miała

być złożona wolność dla powstańczego wodza. Członkowie Rady, którzy wpadli na pomysł tak określonej wymiany, zgrzeszyli niemalą naiwnością, myśląc, że uwalniając parę tysięcy prostych żołdatów i garść oficerów, którzy zgrzeszyli, dając się schwytać przeciwnikowi, zdołają wyrwać z moskiewskich łap Kościuszkę. On sam natomiast musiał przełknąć gorzką pigułkę, kiedy dziewięciu zwolnionych na parol oficerów zbiegło z rosyjskiego obozu, pozostawiając w nim własny honor. Dotknięty do żywego Naczelnik udowodnił, że nie jest to bynajmniej przebrzmiałe już i puste pojęcie. Wprowadzając w mimowolny podziw Fersena i jego podkomendnych, zażądał od Rady Najwyższej Narodowej schwywania zbiegów i wydania ich przeciwnikowi. I to niezwykłe żądanie Naczelnika zostało skrupulatnie wykonane, stanowiąc w wojskowej historii Polski szczególne zdarzenie i niewątpliwy powód — chciałbym napisać: do dumy, ale napiszę: do refleksji, zważywszy na pewne okoliczności, o których będzie jeszcze mowa.

Popularna legenda głosi, że ciężko ranny pod Maciejowicami Tadeusz Kościuszko wyrzucił z siebie słowa: *Finis Poloniae!* Popularna i nieprawdziwa, jak najczęściej bywa z legendami, ale w historycznej świadomości kolejnych pokoleń Polaków, wychowanych na romantycznej tradycji, funkcjonująca niczym absolutna prawda. O jej powstaniu pisałem już w książce *Napoleoński amok Polaków*. Wówczas temat ten przedstawiłem w dużym skrócie, tutaj, w opowieści o Kościuszcze, miejsce na szersze jego omówienie. Za niešťczęsnymi słowami stali Prusacy — zapewne wspomniany już porucznik von Heiligenstadt i sporządzony przez niego raport — i to oni rozpropagowali je w całej Europie.

Propagandowy wydźwięk był jasny, a następcom Fryderyka Wielkiego szczególnie miły. Oto najdzielniejszy z Polaków zwątpił w możliwość odzyskania ginącej wraz z nim ojczyzny. Sam Kościuszko podobno usiłował zaprotestować przeciwko słowom, które w jego przekonaniu musiały się wydać „zbrodnicze w ustach każdego Polaka”. Przypisuje mu się list z dementi do hrabiego Louisa Philippe'a de Ségur, francuskiego dyplomaty i pisarza, który w książce *Décade historique* przytoczył dramatyczne zdanie, przyczyniając się do jeszcze większej popularności przypisywanych Kościuszcze słów. Jeśli nawet tak było, to z żyjącą już własnym życiem legendą nie zdołał on wygrać. Jednak prawda wyglądała zupełnie inaczej... W rzeczywistości Naczelnik nie wysłał żadnego listu do Ségura. Za mistyfikacją stał Leonard Chodźko. To on sfabrykował ów przypisywany potem Kościuszcze list. Jak stwierdza w biografii Kościuszki Szyndler, „Chodźko, ułożywszy tę epistołę, dorobił do niej dla lepszej wiarygodności historię, że Kościuszko podyktował ów list Jerzemu Zenowiczowi, późniejszemu generałowi napoleońskiemu. Ten zaś zachował brudnopis i teraz go na życzenie udostępnia. Tak zręcznie spreparowany materiał zamieścił Chodźko w paryskim dzienniku politycznym «Journal des Débats». Nie zwrócił jednak uwagi na to, że we wspomnianym dziele Ségura nie było w ogóle wzmianki o *Finis Poloniae*”. I w taki to pokrętny sposób, z powodu politycznego cynizmu i draństwa jednych, braku wyobraźni i rozsądku innych, wymyślone słowa o końcu Polski znalazły swoje miejsce w jej historii.

Warszawa zrazu nie uwierzyła w klęskę maciejowicką i niewolę Naczelnika. Poruszone plotką tłumy wyległy, aby

go powitać jako zwycięskiego wodza. Ale zaraz potem euforia przysła, a nadzieje się rozwiały. Kiedy nadeszła wieść pewna i budząca grozę, stolicę ogarnęła rozpacz. Wedle słów Jędrzeja Kitowicza „Cała Warszawa tonęła we łzach i lamentach [...] kobiety suknie na sobie darły, włosy na sobie targały, o ziemię się rzucały”. Biegający po ulicach ludzie z rozpaczą w oczach załamującym się głosem wieścili zgubę ojczyzny. Kitowiczowi wtórował Kiliński: „Gdy ta nieszczęśliwa nowina doszła nas tu, w Warszawie, ach, potężny Boże!, cóż to był za płacz wielki i narzekanie. Każdy zaraz uszy na dół opuścił [...] ach!, nieszczęście i prawdziwe nieszczęście nasze!”. Wkrótce, jak często bywa w podobnych przypadkach, po warszawskich ulicach zaczęły krążyć druki ulotne, a między nimi pełen patosu wiersz *Żal po wzięciu Kościuszki* rozpoczynający się słowami: „Upadł kolos — z nim — świątynia cnoty [...]”. W porywie rozpaczy tłum pospółstwa, liczący podobno 20 tysięcy ludzi, samorzutnie ruszył w kierunku Maciejowic „na odbicie Kościuszki” z rąk Moskali. Gdzieś w okolicy Jeziornej wysłannicy Rady Najwyższej Narodowej dopadli bezładnie poruszające się mrowie warszawskiego ludu i skłonili je do powrotu. Płacz i szloch na chwilę ustąpiły wściekłości, która nakazała poszukać i znaleźć winnego tego, co się wydarzyło pod Maciejowicami. To nie było trudne zadanie. Wybór był niejako oczywisty, winowajca podany niczym na tacy. Okazał się nim generał Poniński, który spóźnił się z pomocą dla Kościuszki. Ale to był jedynie wygodny pretekst. Domniemaną winę generała zwielokrotniał fakt, że był synem znienawidzonego marszałka sejmu rozbiorowego, człowieka skazanego na wieczną narodową hańbę. Jednak

młodego Ponińskiego przed niechybnym skazaniem, być może nawet na śmierć, wybronili podkomendni, świadcząc jak jeden mąż o jego nadzwyczajnej odwadze i oddaniu oraz faktycznej niemożności wykonania spóźnionych rozkazów. W ich gronie był późniejszy dowódca Legii Nadwiślańskiej i dyktator z okresu powstania listopadowego, ówczesny kapitan Józef Chłopicki. Poniński ocalał, ale — jak często bywa — brud przykleił się do niego już na całe życie. Zresztą generał, kawaler Orderu Virtuti Militari, przewidział swój los, kiedy, żądając postawienia przed sądem, pisał: „umrzeć jest dla mnie niczem, ale postawić w opinii publicznej, że jestem zdrajca, albo że jestem niedbale służył Ojczyźnie, jest to dla mnie gorzej niż tysiąc śmierci”. Ostatecznie Poniński został uniewinniony, ale wobec nagłości i natłoku wydarzeń wyrok nie uzyskał zatwierdzenia przez następcę Kościuszki i nie został oficjalnie ogłoszony. Sprawilo to, że w powszechnym mniemaniu pozostał co najmniej winowajcą klęski pod Maciejowicami. Jednocześnie odwróciło się od niego wielu bliskich znajomych i przyjaciół. Ten nieznośny stan w swoim największym natężeniu miał trwać przez następne dziesięciolecie, kiedy wreszcie Ponińskiemu udało się uzyskać satysfakcję z najważniejszych ust, nie tylko dla niego — samego Naczelnika. Ale o tym będzie jeszcze czas wspomnieć.

Pisząc o „prawdziwym nieszczęściu”, Kiliński miał najzupełniejszą rację. Spadło ono na Polskę niczym całun. Niewola Naczelnika była nieszczęściem dla powstania i wszystkich, którzy się w nie zaangażowali. Bitewna porażka, chociaż bolesna, o niczym jeszcze nie musiała przesądzać. Podobnie jak utrata kilku tysięcy bitnych żołnierzy; w ich miejsce mogli stanąć inni. Brak Kościuszki na czele

walczącego z rozpaczą narodu przekreślał jednak wszystko. Ta czarna prognoza spełniła się zaledwie parę tygodni po Maciejowicach. Nim jednak ostatecznie powstańcze oddziały złożyły broń, zaszło kilka dramatycznych zdarzeń. Ciężar przywództwa nad powstaniem i związane z nim straszliwe brzemie odpowiedzialności spadły na barki Tomasza Wawrzeckiego, który 12 października na wniosek Hugona Kołłątaja został przez Radę Najwyższą Narodową powołany na Naczelnika insurekcji. Ponieważ Wawrzecki, „prawy Litwin, gorący patriota”, znajdował się poza Warszawą, tymczasową komendę nad wojskiem powierzono generałowi Zajączkowi, przydając mu do rady generałów Wielhorskiego i Orłowskiego oraz czterech cywilów. Czyli całkowicie odmiennie niż postępowali Rzymianie wyznaczający dla obrony zagrożonej ojczyzny wyposażonego w pełnię władzy dyktatora. Nominacja Zajączka, przyszłego zniechęconego namiestnika Królestwa Polskiego, marnej postaci bez charakteru, po jego „wyczynach” z 1792 roku wzbudza zdumienie i niesmak. Zresztą nie miało już większego znaczenia, kto przejmie powstańcze stery. Rosjanie bowiem połapali się w sytuacji i doszli do przekonania, że ze zdławieniem powstania nie muszą czekać do wiosny. Przed wojskami Katarzyny pojawiła się nagle szansa zwycięskiego zakończenia kampanii przed pierwszymi mrozami i śniegami. Świadomość ta dodała carskim oficerom i żołdatom energii, której wcześniej im dramatycznie brakowało. Suworow poprowadził ich wprost na polską stolicę, w której wcześniej grób znalazło tak wielu ich pobratymców. W sztabie Wawrzeckiego nie było zgody na sposób rozegrania kampanii w obliczu ponownego ataku na Warszawę. Dąbrowski zaproponował

opuszczenie miasta i przeniesienie działań do Wielkopolski. Ostatecznie Naczelnik zgodził się na kompromis. Część wojsk ruszyła na zachód, reszta, po uzupełnieniu niedoborów mieszczanami, miała powstrzymać wroga na praskim przedmościu. Mało kto jednak w polskim dowództwie zdawał sobie sprawę, z kim przyjdzie stoczyć walkę. Na dodatek dowódcą obrony został Zajączek, obok wspomnianych wad także mierny dowódca. Jak napisał o nim Hen, „nie popisał się na Pradze, fatalnie zaplanował obronę. Nie wyznaczył dróg odwrotu”. Uprzedzając wydarzenia, można stwierdzić, iż poza jedną — kiedy już sytuacja pachniała klęską, „wsiadł do powozu i znikł”. 4 listopada powstanie otrzymało ostatni, dramatyczny cios. Pod Warszawę podeszły oddziały Suworowa i niemal z marszu zaatakowały Pragę. Polacy bili się z desperacką odwagą, ale pospiesznie usypane z piasku wały stanowiły słabe zabezpieczenie dla nielicznych, marnie wyszkolonych oddziałów. Nie było najmniejszych szans na powstrzymanie siedmiu kolumn wroga atakujących przy wsparciu lawiny ognia armatniego z trzech potężnych baterii. Rosjanie szli do ataku, pamiętając jedno z przykazań swoistego katechizmu Suworowa: „wkraczaj do miasta, rznij nieprzyjaciela na ulicach”. Obrona pękła niemal natychmiast, a atakujących z niezwykłą zaciekłością Moskali udało się powstrzymać zaledwie przez cztery godziny. Najdłużej trwał na praskiej reducie Jasiński, ostatecznie ginąc zakłuty bagnietami. Potem zaś rozpoczęła się straszliwa rzeź niedobitków regularnych jednostek i ludności, której skala sprawiła, że dzień ów zapisał się jako najczarniejszy w dziejach prawobrzeżnej części stolicy, ale też i jeden z najbardziej ponurych w historii

Polski. Nie szczędzono nikogo. Pod bagnetami i szablami oszalałych z nienawiści i dyszących żądzą zemsty żołdatów padły tysiące mieszkańców, niektórzy historycy piszą nawet o 20 tysiącach ofiar, ale wydaje się, że liczby są przesadzone. Kiliński pozostawił makabryczny opis tego, co się wydarzyło na praskim przedmościu: „Na Pradze Moskale bez pardonu matki i najmniejszych dzieci rzną — na bagnety biorą i rzucają na ulice. Matkom zaś nie dość, że ich zabito, ale po ulicach one gołe rozkładali i między nogi spisy wtykali, tak dalece że im gardłem wylażyły. Inne zaś w ogień wrzucano i żywcem palono, inni, nie mogąc się dostać na most, prosto w Wisłę skakali i topili się, choćby się był kto pływaniem ratował, ale dla kawalerii, która prosto wplaw maszerowała, to końmi tratowano [...] płynących”. Stosy trupów zrobiły wrażenie na przerażonej Warszawie. Tego samego dnia powstanie w praktyce umarło. Jeszcze wieczorem przedstawiciele miejskich władz przyplłynęli na praską stronę i przystąpili do uzgadniania warunków kapitulacji, która nastąpiła nazajutrz. Suworow, który ledwie obmył ręce z krwi, był uprzedzająco uprzejmy. Przebywające w murach Warszawy wojska, dzięki zniszczeniu mostu na Wiśle, miały kilka dni na jej spokojne opuszczenie. Wraz z innymi oddziałami liczyły one jeszcze ponad 20 tysięcy żołnierzy, co stanowiło około dziesiątą część stanów ilościowych wojsk, które przewinęły się przez powstańcze szeregi podczas insurekcji, ale bez ducha walki i wodzów, którzy byliby w stanie rzucić ich do boju. Pozbawionemu planu działania, zrezygnowanemu Wawrzeckiemu towarzyszyła grupa generałów z Giełgudem i Dąbrowskim oraz prezydent Warszawy. Szli w kierunku Końskich, nie wiedząc,

co dalej czynić. Wojsko zniknęło niczym topniejący śnieg. Dezerterowali szeregowcy i oficerowie, nie wierząc w sens dalszej walki. Dąbrowski odrzucił ofertę króla pruskiego, złożoną przez generała von Kleista, aby wraz z wojskiem wstąpić na jego służbę. Rzucił desperacki pomysł przebijania się z bronią w rękę do Francji. Jakby już wówczas przeczuwał przyszłe losy Polaków u jej boku. Rosjanie wkroczyli do Warszawy dopiero pięć dni po praskim pogromie. Znaleźli w niej zagwoźdżone armaty i polskiego króla, który postanowił zdać się na łaskę zwycięzców. Zajączek, ów niewydarzony tymczasowy dowódca wojsk Rzeczypospolitej, w chwili prawdy oddzielającej tchórzy od bohaterów, starym zwyczajem czmychnął do Galicji, a później na łamach wydanej po francusku książki *Historia rewolucji polskiej*, wybielając siebie, obrzydliwie zaatakował króla i obwinił go za całe niemal zło i wszystkie niepowodzenia; to znany nie tylko z rodzimej historii sposób na załganie prawdy i wylanie balsamu na piekące nieczyste sumienie. Wraz z czapkującym mu Kollątajem Zajączek, człowiek o lisiej fizjonomii, świetnie współgrającej z zachowaniem, tworzyli dobraną parę „prawdziwych” patriotów. Jednak nie tylko oni zachowali się w sposób zawstydzający. 18 listopada w obozie resztek polskiej armii w Radoszycach pojawił się w asyście paru oficerów wysłannik Suworowa, generał Denisow. Przekazał list, w którym carski wódz „zapraszał” Wawrzeckiego i powstańczą generalicję do Warszawy. Chciał ich jedynie poznać... Zaś oni, po krótkiej naradzie i rozdzieleniu kasy pomiędzy żołnierzy, przyjęli owo zaproszenia kata Pragi. W historii Polski, choć pełnej zachowań nieprzynoszących chwały, niełatwo byłoby znaleźć czyn równie haniebny

i zarazem głupi. Ale przecież oni, o czym solennie zapewniał Denisow, „nie byli jeńcami”, lecz gośćmi... Jednocześnie Stanisław August — jak w biografii Dąbrowskiego napisał Gabriel Zych, „spełnił wtedy pierwszą oficjalną czynność od dnia wybuchu powstania: ratyfikował kapitulację”.

Jedni trafiali do moskiewskiej niewoli pocięci w kawały szablami i podziurawieni spisami, inni oddawali się wrogom bez odruchu istotnego sprzeciwu. Choć przecież mieli możliwość, aby go wykonać.

Tak życie odziera niektórych z przyzwoitości i bohaterstwa.